

Ostatnia Runda Cz.3

Kolejny rok przyniósł mi dwóch topowych rywali. Lukas Brown, był już w swojej karierze mistrzem świata, natomiast

Michael Randal dwukrotnie walczył o tytuł mistrza, za każdym razem remisując, a więc tytułu nie zdobywając. Obie walki wygrałem przed czasem. Nie unikałem jednak nieprzyjemnych bólów głowy. Mało tego, ostatnio zaczęły pojawiać się nawet po sparingach. Wszelkie możliwe badania głowy sugrowały, że wszystko jest w porządku. Ja jednak wiedziałem, że z tym „w porządku”, musi być coś nie tak.

Marzyłem o tytule mistrza świata, pragnąłem go. Nic więc nie było w stanie zniechęcić mnie, aby po niego nie sięgnąć.

W końcu, jako pretendent numer jeden do tytułu mistrza, stanąłem do walki o tytuł.

Przyszło mi walczyć z Henrym Morem, uznanym za najlepszego fightera w kategorii półciężkiej. Facet miał trzydzieści cztery lata i piękny bilans walk zawodowych. Wygrał wszystkie trzydzieści trzy walki, ani razu nie remisując, ani nie przegrywając, do tego dwudziestu ośmiu rywali znokautował. Henry uważany był za numer dwa w najbardziej prestiżowym rankingu bez podziału na kategorie wagowe. Ranking ten, zestawiał wszystkich obecnie walczących zawodowo bokserów.

Stanąłem więc do pojedynku życia. To, co się działo przed walką było istnym wariactwem. Trzeba jednak przyznać, że promotorzy znali się na rzeczy. Pojedynek okrzyknięto najpierw walką roku, potem dziesięciolecia, a dwa tygodnie przed jej rozpoczęciem, stulecia. Do tego dochodziło mnóstwo określeń typu „Siły zniszczenia”, „Starcie egzekutorów”, czy „Noc chwały”. My także robiliśmy, co w naszej mocy, by wzbudzić zainteresowanie starciem. Na jednej z konferencji doszło więc do szarpaniny, a na oficjalnym wazeniu pobiliśmy się. Wszystko jednak kontrolowaliśmy, a każdy z ciosów zadawaliśmy tak, by przypadkiem nie zrobić drugiemu krzywdy.

Przy każdej okazji ostro też sobie dogryzaliśmy, wytykając słabe punkty w technice, szybkości, odporności na ciosy. Efekt podsyceń do granic możliwości zainteresowania naszą walką został osiągnięty. Ostatecznie stała się wielkim sportowym wydarzeniem. Miejscem walki było Las Vegas, miasto w którym walczyli wszyscy najwięksi bokserzy tacy jak

Floyd Mayweather, Manny Pacquiao, Miquel Cotto, a w przeszłości Oscar de la Hoya, Feliks Trinidad, Ewander Holyfield, czy Mike Tyson.

Oprawa stała na najwyższym światowym poziomie, tak samo jak walka, podczas której padło kilka rekordów. Mianowicie po raz pierwszy zarobiłem ponad milion dolarów. Dokładnie dostałem trzy miliomy. Po raz pierwszy w karierze, byłem liczony, i to trzykrotnie. Po raz pierwszy walczyłem całe trzy minuty ze złamaną ręką, na szczęście kontuzji doznałem w ostatnich dziesięciu sekundach jedenastej rundy. A teraz najważniejsze, po raz pierwszy po ogłoszeniu werdyktu Michaela Buffera, trzymałem w dłoni wyma-

rzony, upragniony tytuł mistrza świata.

Szybko udzieliłem wywiadu, zszedłem z ringu i pomknąłem do szatni. Koniecznie musiałem pobyć sam. Zamknąłem drzwi i się rozplakałem, rzecz jasna ze szczęścia. To było jak sen, piękny cudowny sen. Godziny treningów, wszelkich możliwych wyrzeczeń, poczynając od jedzenia, po alkohol i nocne wypadki z przyjaciółmi na miasto, zostały wynagrodzone utrzymanym w ręku tytułem.

Moją samotność zakłóciło stukanie do drzwi. Pozbierałem się i otworzyłem. Do szatni wpadł Tata z Feliksem, obaj w szampańskich nastrojach. Wziąłem prysznic, po czym limuzyną pojechaliśmy najpierw do szpitala, gdzie założono mi na spuchniętą rękę gips, oraz kilka szwów na rozbity łuk brwiowy, a następnie biały lincoln zawiózł nas wprost na bankiet.

Emocje cały czas nie odpuszczały, funkcjonowałem jak w transie. Nie było człowieka, który nie pogratulowałby mi fantastycznej walki, kibiców miałem nawet wśród szpitalnego personelu.

- To była walka roku! - Krzyczał Don.

Miał rację, dramaturgią, oraz zmianami położenia szali zwycięstwa, przechylającymi się raz w jedną, to znów w drugą stronę, można by obdzielić kilka pojedynków. Ale to ja wyszedłem z niej zwycięsko. Nie myślałem o niczym innym jak o odpoczynku. Spać położyłem się o godzinie piątej rano.

Przebudziłem się o godzinie czternastej. Jak żyję nie czułem się tak źle jak wtedy. Nie dosyć, że mnie młilo, to jeszcze ból przeszywał autentycznie, całe moje ciało, do tego doszedł światłowstręt.

Ostatnim czego trzeba mi było, to non stop biegający, rozentuzjasmowany Tata i co godzinna dwudziestominutowa rozmowa telefoniczna jak nie z Mamą, to z kimś z rodziny. Nie mogłem zebrać myśli, do tego głos wydobywający się ze słuchawki, zdawał się wdzierać do mojej głowy i niczym wahadło dzwonu, odbijając z jednego końca czaszki do drugiego i z powrotem. Nie miałem więc innego wyjścia jak po raz pierwszy w życiu naszprycować się lekami przeciwbólowymi. Inaczej nie wytrzymałbym tego. Z radością przyjąłem fakt połamanej ręki, uniemożliwiającej przez najbliższe dwa miesiące treningi. Boksowi miałem autentycznie dość.

Z czasem jednak wylizałem się. Pałając chęcią unifikacji tytułów mistrzowskich, nalegałem na starcie z Owenem Nawarr.

Dopiąłem swego. Pół roku później stając naprzeciw Owena.

Walka była dobra, a co najważniejsze wygrałem ją.

Tymczasem na walkę rewanżową coraz bardziej nalegał obóz Henrego. Ja natomiast wprost przeciwnie, unikałem go jak ognia. Wiedziałem ile zdrowia kosztowała mnie nasza poprzednia rywalizacja. Kompletnie się go nie bałem, obawiałem się jednak o swoje zdrowie. Wymiany ciosów z Henrym odebrały mi go tyle, co dwie kolejne walki razem wzięte. Dlatego zwlekałem ile mogłem, sugerując Kislingowi innych będących na topie rywali.

Zanim się z nim zmierzyłem odprawiłem jeszcze trzech pretendentów. Szczególnie trudno było z ostatnim z nich. Frank Vargas był autentycznie kopia mnie samego sprzed pięciu lat. O tyle właśnie lat młodszy ode mnie, zdeterminowany, głodny sukcesu, a zarazem pewny siebie. Niepokonany na zawodowych

ringach, przekonany był o swojej wyższości nad każdym rywalem. Kto wie? Gdyby jego menadżer poczekał z tą walką jeszcze dwa lata, być może mieliby mistrza świata.

Frank bił tak mocno, że po czwartej rundzie niemalże nie widziałem nic na prawe oko. Kwestią jednej, góra dwóch rund było przerwanie walki. Całe szczęście, wraz z siłą uderzenia nie szła technika. Chłopak po zadanej kombinacji, zazwyczaj składającej się z trzech, czterech ciosów, stawał w miejscu stając się łatwym celem. Szczególnie od trzeciej rundy tendencja ta zaczęła być zauważalna. Przyjąłem więc na blok trzy jego ciosy, wyprowadzając następnie z całej siły swój firmowy lewy sierp poprawiony prawym hakiem. Oba ciosy doszły celu nokautując Vargasa. Gdy sędzia wyliczył go do dziesięciu, odetchnąłem z ulgą. Po tych czterech rundach wyglądałem nieco lepiej niż po dwunastu rundach z Henrym. Najważniejsze jednak było zwycięstwo.

Rewanżowy pojedynek z Henrym Morem wzbudzał zainteresowanie mediów i każdego fana boksu na świecie, dokładnie tak samo jak miało to miejsce w przypadku naszej pierwszej konfrontacji.

Nie czułem się przed tą walką najlepiej. Jakoś podświadomie obawiałem się jej. Cały cykl przygotowawczy przebiegał dobrze, wszystko było okej, nie mogłem jednak uzyskać tak niezbędnego wewnętrznego spokoju.

Kilka razy miałem nieprzyjemny sen. Walczyłem w nim z Henrym, nie mogąc go trafić. Strasznie się wtedy męczyłem, wstając zmęczony bez chęci do treningu. Ostatecznie nie mając wyjścia jakoś się do niego zmuszałem.

W końcu nadszedł dzień walki. Cieszyłem się bardzo, chciałem jak najszybciej mieć to za sobą. Dość już miałem tych koszmarów, budzenia się z opętańczą myślą zniechęcającą mnie do czegokolwiek, a do treningu w szczególności. Pocieszeniem był zanik bólów głowy. Praktycznie od czterech miesięcy nie miałem ich wcale.

Konfrontacja z Morem miała podobny przebieg do naszej pierwszej walki. Mając ją w pamięci, teraz tym bardziej czułem się wygranym. Dlatego kiedy usłyszałem werdykt pozbawiający mnie tytułu, nie mogłem powstrzymać się, by nie podsumować pracy sędziów. Nie był to najmądrzejszy ruch z mojej strony, naraziłem się im, ale przemilczenie zaistniałej sytuacji nie wchodziło w grę. Porażka bolała strasznie, tym bardziej, że czułem się zwycięzcą.

Owszem byłem liczony, ale on liczony był dwa razy. Nawet statystyka celnych ciosów była na moją korzyść. On, co prawda zadał ich więcej, ale to ja trafiałem częściej, będąc skuteczniejszym. Nie mogłem zrozumieć werdyktu z góry zakładającego trzecią naszą konfrontację, mającą wyjaśnić dobitnie, który z nas jest lepszy.

Oczywiście najważniejsze były pieniądze. Nasza pierwsza walka przyniosła zysk rzędu osiemdziesięciu milionów dolarów, druga dziewięćdziesięciu, trzecia natomiast okraszona jeszcze pewną kontrowersją przyniesie grubo ponad sto milionów dolarów.

Za drugi pojedynek dostałem siedem milionów dolarów. Było to największe z wszystkich moich dotychczasowych honorariów.

Następnego dnia nie dosyć, że bolało mnie wszystko, to jeszcze uczucie doznanej pierwszy raz w życiu zawodowej porażki potęgowało chęć zaśnięcia i nie obudzenia się. Nie, nie, nie miałem na myśli popeln-

ienia samobójstwa, chodziło raczej o możliwość przespania jak najdłuższego okresu czasu i przebudzeniu się, kiedy porażka będzie już zabliznioną raną.

Do tego dobijające słowa pocieszenia - Nie martw się, następnym razem wygrasz - albo - Spokojnie twarde jesteś dasz radę - nie mogłem tego słuchać. Przecież wiem, że dam radę!

Gdybym przegrał na skutek trafienia na lepszego zawodnika, też by bolało, ale nie tak jak przegranie walki, którą się wygrało.

Mimo, iż wiedziałem to od dawna, teraz byłem w stu procentach przekonany, co do słuszności stwierdzenia, „Pieniądz rządzi światem”.

Wszystko robione jest po to, by osiągnąć jak największe wpływy i wypchać sobie kieszenie gotówką.

Wtedy po raz pierwszy zacząłem myśleć nad ułożeniem naprawdę perfidnego planu, polegającego na zgarnięciu kilku dużych baniek i wycofaniu się z czynnego boksowania. Tak bardzo bolało mnie oszustwo względem mnie, że chciałem odpłacić dokładnie tym samym.

Po wykurowaniu się, wróciłem na salę treningową. Trzecia walka z Henrym miała się odbyć za cztery miesiące. Przygotowywałem się do niej z motywacją równą tej z czasów amatorskich. Ze sparingpartnerami walczyłem jak natchniony.

Zasypiając, już nie mogłem doczekać się porannego treningu. Wszystko to wynikało z już posiadanego planu doskonałego.

Teraz jednak wygrana z Morem była moim celem życiowym. Na wyrównanie rachunków będzie czas później.

Na konferencjach prasowych było naprawdę ostro, za każdym razem czy to przy ważeniu, czy nawet mijaniu się gdzieś w przejściu, byliśmy oddzieleni przez czterech postawnych ochroniarzy.

Ja zarzucałem mu tytuły zdobyte nie dzięki umiejętnościom, a przychylności sędziowskiej, on mi natomiast brak pokory i pogodzenia się z porażką.

Walka była największą młócką, jaką widziało Casyno Mandalay Bay w Las Vegas. W sumie za faule, niesportowe zachowanie i obrażanie rywala, odjęto nam sześć punktów. Nokdaunów tym razem nie było, ale za to od siódmej rundy nasza konfrontacja nie była walką bokserską, a uliczna bójką. W dziesiątej rundzie otrzymałem tak mocny prawy prosty, że mimo nie wylądowania na macie ringu, autentycznie urwał mi się film. Przez większość rundy słaiałem się na nogach i tylko dzięki gongowi kończącemu nieszczęsne starcie, zawdzięczam możliwość kontynuowania walki. Do tego z minuty na minutę dawał o sobie znać coraz większy ból szczęki. W dwunastej rundzie nastąpiła zmiana ról. Tym razem to ja oparawiałem go niemilosiernie. Henry tylko dzięki niesamowitej sile woli i charakterowi zdołał ustać na nogach. Biłem najszybciej i najmocniej jak mogłem. To dzięki tej rundzie przyznano zwycięstwo mi.

Okupione było jednak największą ilością zdrowia pozostawionego w ringu. Odzyskałem tytuły, wyjaśniając tym samym, kto jest numerem jeden w kategorii półciężkiej. Po walce na skutek zawrotów głowy, odwieziony zostałem do szpitala.

Stwierdzono wstrząs mózgu, pękniętą szczękę, założono mi także dwadzieścia szwów na rozbite łuki br-

wiowe. Zamiast na bankiet, zostałem zawieziony do szpitalnego pokoju, gdzie miałem zostać do rana celem obserwacji. Około trzeciej w nocy nawiedził mnie tak intensywny ból głowy, że zwymiotowałem. Dostałem solidną dawkę leków przeciwbólowych, uspokajających i nasennych. Obudziłem się w południe dnia następnego. Środki działały, ponieważ kompletnie nie odczuwałem żadnych dolegliwości. Rozmowa z lekarzem, uzmysłowiła mi wybicie boksu z głowy przez minimum trzy następne miesiące. Ze szpitala pojechałem wprost na konferencję prasową zorganizowaną po walce. Wszelką agresję i uszczypliwość, wybiliśmy sobie nawzajem z głów dnia poprzedniego.

Henry, także wyglądał nie tego, zapewnił jednak, że o zakończeniu kariery nie myśli.

Przez całe czterdzieści minut trwania konferencji, odezwałem się dwa razy. Drutowana szczeka znacznie utrudniała wysławianie się jak i snucie dalekosiężnych planów dotyczących dalszej kariery.

Przyjmowanie posiłków wyłącznie w formie płynnej, też dało mi się nieźle we znaki. Po powrocie do pełni sił, zauważyłem dziwną podświadomą prawidłowość. Otóż zacząłem walczyć dużo mniej agresywnie, starając się za wszelką cenę być jak najmniej razy trafionym. Rezygnowałem z każdego ataku, podczas którego występowało ryzyko trafienia. Było to o tyle złe, że nie da się dobrze walczyć bez ryzyka trafienia. To normalne, że czasami przyjmie się cios, chodzi jednak o to, by mocniej oddać. Takie właśnie sytuacje były zawsze moim kluczem do sukcesu.

Trenerzy wściekali się na mnie - Co ty wyczyniasz?! - Krzyczeli.

Co ja im mogłem odpowiedzieć? Każde moje zachowanie w ringu było oczywiście wytrenowane, ale przede wszystkim instynktowne, oparte na wyczuciu rytmu walki jak i słabych oraz mocnych stron mojego przeciwnika. Coś się ze mną działo. A najgorsze, że nie miałem na to wpływu. Zresztą gdyby nie mój plan, nie wiem skąd wziął bym motywację do treningów. Tylko on nakazywał mi zacisnąć zęby i iść do przodu.

Być może to jest właśnie to wypalenie, pod wpływem którego zawodnik traci swoje atuty, pozwalające pokonywać kolejnych rywali. A może to instynkt samozachowawczy kazał mi przede wszystkim walczyć bezpiecznie dla siebie, w efekcie czego, mój styl boksowania stracił na widowiskowości, stając się asekurancki, żeby nie powiedzieć nudny.

Do tego wszystkiego jak na złość bóle głowy powróciły, stając się jeszcze bardziej dokuczliwe. Coraz częściej musiałem sięgać po leki przeciwbólowe.

Kolejni przeciwnicy byli dobrani z pierwszej rankingowej dziesiątki. Nie byli jednak zbyt wymagający. Obydwie walki należały do jednych z nudniejszych, choć pewnie wygranych przeze mnie na punkty. Komentatorzy poszczególnych stacji prześcigali się w krytykowaniu.

- Dominik walczył zachowawczo, nudno, bez polotu. Po jego umiejętnościach prezentowanych w poprzednich walkach, można było spodziewać się czegoś więcej.

Tak brzmiały najdelikatniejsze i zdystansowane komentarze.

Po walkach były, co prawda gratulacje, ale zacząłem wyczuwać w swoim teamie coś niepokojącego. Wszyscy tak jakby się zmienili. Don wcześniej, za każdym razem po mojej wygranej z uśmiechem przechadzał się po ringu. Teraz nagle gdzieś zniknął. Znacznie też częściej pojawiał się obok nowo pozyska-

nego do swej grupy promotorskiej, ulubieńca publiczności, Amerykanina Oskara Greena.

Nie prowadzono także ze mną, mających na celu przedłużenie kontraktu rozmów, czy chociażby prób negocjacji. Zamiast tego zaproponowano walkę z Joe Suliwanem sklasyfikowanym na piętnastym miejscu rankingowym.

Joe, świeżo co przeszedł z kategorii średniej. Nie wiem, po co mu to było, bo jak na moje oko do kategorii półciężkiej był po prostu za mały. Miał zaledwie metr siedemdziesiąt wzrostu. Było to mało, nawet jak na jego poprzednią kategorię.

Wciąż byłem mistrzem świata, a mimo to poświęcano mi bardzo mało uwagi. Moi trenerzy byli starymi wyjadaczami, siedzieli w tej branży od kilkudziesięciu lat, będąc świadkami spektakularnych wzlotów i upadków ogromnej liczby zawodników. Być może zauważyli, że się kończę i nic już się ze mnie nie wy-ciśnie.

Teraz ćwiczyłem jak chciałem, zazwyczaj pod okiem jakiegoś zastępcy, bądź asystenta trenera. Typ, co chwila powtarzał tylko - Okej, okej - nic poza tym.

Diabli wiedzą, o co do końca mogło chodzić, ale wiedziałem, że nie wróży to mojej dalszej karierze niczego dobrego. Wtedy uznałem, iż jest to najdoskonalszy moment na wprowadzenie mojego planu w życie.

Polegał on na postawienie trzech milionów dolarów, oczywiście przez dwie podstawione nijak niepo-wiązane oraz spokrewnione ze mną osoby, na mojego rywala, po czym zamierzałem najnormalniej w świecie podłożyć się.

Nokaut miał nastąpić ku ogromnemu zdziwieniu całego sportowego świata w pierwszej rundzie.

Tak też się stało. W drugiej minucie pierwszej rundy, poczułem cios prześlizgujący mi się po czole. Nie-wiele myśląc przewróciłem się, dając następnie wyliczyć się do dziesięciu.

To był szok. Suliwan zaczął skakać po ringu jak poparzony. Takiego zakończenia walki, nie potrafił sobie nawet wyobrazić w najcudowniejszych chwilach uniesienia, oraz utraty kontaktu z rzeczywistością.

Wstałem, i nie udzielając nawet wywiadu uciekłem do szatni.

Powtórkę nokautu analizowano chyba ze sto razy. Nikt nie mógł zarzucić mi, że przewróciłem się bez ciosu, bo cios był. Wątpliwości dotyczyły tylko jego faktycznej siły i efektu jaki wywołał. Następnego dnia wszem i wobec mówiłem, że był to przypadek. Czułem się trochę głupio kłamiąc w żywe oczy.

Zupełnie nieprzypadkowo za to wzbogaciłem się o dwadzieścia jeden milionów dolarów z zakładu bukmacherskiego.

Don za to zakomunikował, iż z pięciomilionowego honorarium otrzymam góra dwa miliony, ponieważ stacja transmitująca pojedynek stwierdziła, że był on sfigowany. Nie chce także nowej umowy na transmitowanie walk. Krótko mówiąc nikt już nie chce płacić za oglądanie moich starć. Na dzień dzisiejszy mój amerykański sen zakończył się.

Nie z takich jednak tarapatów(oczywiście dzięki menadżerom i promotorom), zawodnicy wychodzili.

Trzeba było jednak tego chcieć, a ja miałem z tym problem.

-Nie martw się, wierze w przypadki i to właśnie był jeden z nich - mówił z uśmiechem Don - Odpocznij pozbieraj myśli i zastanów się czy chcesz jeszcze walczyć. Ja tymczasem postaram się by wypłacili całość gaży, choć gwarancji co do tego nie mogę ci dać.

Następnie pożegnał mnie uściskiem dłoni.

Promotor podszedł do tego dużo bardziej liberalnie niż kibice. Na pewno wywołane było to tym, że zarobił na mnie kilkaset milionów dolarów. No i na pewno miał jeszcze plany wobec mnie. Takie szczerwane lisy, zawsze mają coś w zanadru.

Kibice zarzucają mi podłożenie, sprzedanie się, naplucie im w twarz i tym podobne historie. Jakby nie patrzeć mają trochę racji. Tylko to nie oni wylewali setki litrów potu na treningach, to nie oni budzą się z potwornym bólem głowy w środku nocy nie mogąc zasnąć. Jasne to była moja praca. Ale co w tym dziwnego, że zrobiłem skok na kasę? Każdy z nich zrobiłby coś dużo gorszego by zarobić choćby milion. Faktycznie, powinienem zakończyć karierę skoro było coś nie tak i nikt nie miałby do mnie o to pretensji. Tylko byłbym wtedy biedniejszy o w sumie dwadzieścia trzy miliony dolarów.

To co zrobiłem może i nie ma wytłumaczenia, ale gdzie są kibice Rafaela Quinsa, dwudziestodwuletniego chłopaka, który po dwudziestej z kolei wygranej przez siebie zawodowej walce, trzy godziny po jej zakończeniu zapadł w śpiączkę. Biedak nie zdołał zarobić w ringu pieniędzy gwarantujących swojej rodzinie życie na odpowiednim poziomie. Jego menadżer ograniczył się do umieszczenia go w ośrodku dla ludzi z takim jak on schorzeniem. Zarobione przez niego pieniądze starczyły na sześciomiesięczną opłatę, po tym czasie żona wraz z dwójką dzieci dostała eksmisję. Praca na dwie zmiany nic nie dała, pieniędzy brakowało, dług względem hospicjum rósł. Jedynym pozytywnym aspektem było rozłożenie go na raty. Kobieta musiałaby je jednak spłacać jeszcze, co najmniej pięć lat od potencjalnej chwili śmierci Rafaela. Gdyby ci, którzy tak mu kibicowali, będąc jednocześnie żądnymi mocnych wymian ciosów, dawali choćby po dolarze miesięcznie, sytuacja jego żony uległaby radykalnej zmianie.

Akcję pozyskiwania funduszy rozpoczął jego brat, wszyscy trenujący w naszym klubie zawodnicy zadeklarowali chęć przekazania pięciu procent swej gaży na rzecz Rafaela. Teraz byt zapewniony ma jego żona jak i dzieci. Nikogo jednak poza nami zawodnikami nie interesował jego los. Don z tego co wiem, podczas rozmowy na ten temat, potrafił się tylko uśmiechać.

Mimo, iż przez moją sypialnię przewinęło się sporo kobiet to jednak cały czas jestem kawalerem niebędącym w żadnym związku. Chyba czas najwyższy to zmienić. W gruncie rzeczy do tej pory moje życie polegało tylko i wyłącznie na treningu. Wszystko było podporządkowane pod boks.

Być może nadejdzie taki czas, w którym zabraknie mi tej adrenaliny towarzyszącej każdemu wyjściu na ring, być może poczuję chęć rywalizacji, w końcu mam niespełna trzydzieści lat i duszę wojownika.

Dochodzę jednak do wniosku, że skoro raz wpadłem na pomysł by sfingować walkę, wcześniej czy później zrobiłbym to po raz drugi. Mimo wszystko nie jestem na tyle bezczelny, by próbować tego numeru po raz drugi. Po prostu nie. Poza tym, w obecnej sytuacji, byłaby to raczej słaba motywacja do treningów.

Uczucia byciem mistrzem świata nie da się kupić, nie da się go także porównać z niczym innym. Na razie jednak mam tego dość. Mam tego świadomość, nie będę także robił niczego wbrew sobie.

Wypowiadane słowa uspokajają mnie. Wygadałem się, nerwy i emocje opadły. Pozostaje mi poczekać na decyzję telewizyjnych baronów. Jaka by ona jednak nie była wracam do Polski.

Chcę wrócić do domu, odpocząć, tym bardziej, że do końca życia nie muszę już nic robić, finansowo jestem zabezpieczony.

Koniecznienie muszę zrobić kompleksowe badania głowy. Lekarz potwierdzający moją zdolność do każdego z pojedynków, był dobrym znajomym Kislinga. Nie zdziwiłbym się gdyby za przymknięcie oka na pewne zdrowotne kwestie badanego zawodnika, dostawał solidnie wypchaną kopertkę. Dokuczliwe bóle głowy nie są niczym normalnym. Muszę się więc tym zająć.

Na tą chwilę stoczyłem trzydzieści zwycięskich walk, z tego dwadzieścia trzy zakończone przed czasem, zanotowałem także dwie porażki. Ale co najważniejsze byłem dwukrotnym mistrzem świata. A tego zaszczytu nie jest dane dostąpić każdemu.

Może rozpocznę karierę trenerską? W końcu po coś kończyłem studia. Może pomogę Feliksowi w przygotowaniach do walki o mistrzostwo Europy?

Na pewno coś wymyślę oraz w czymś się odnajdę. Na razie jednak, mażę by spokojnie wyspać się i zapomnieć o ciągłej presji rywalizacji.

KONIEC.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

G.G, dodano 30.01.2015 16:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.